

H Y P E R J O N

82-1

JOHN KEATS

HYPERJON

PRZEŁOŻYŁ
JAN KASPROWICZ

BIBLIOTEKA GIMNAZJUM
m. kr. Zygmunta Augusta
Szafa ⁹ Półka
№ Dział
Inw. ¹⁰ *1965.*

WARSZAWA
INSTYTUT WYDAWNICZY „BIBLIOTEKA POLSKA”



286485

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku



FUW0173002

Zakłady graficzne Inst. Wydawniczego „Biblioteka Polska” w Bydgoszczy.

W/180/05p



W głębokich mrokach posepnej doliny,
Zdała od świeżych oddechów poranka,
Zarów południa i gwiazdy wieczornej
Usiadł Saturnus, jako głaz, spokojny
I tak milczący, jak owo milczenie,
Co go otacza wokoło; nad głową
Las mu się zwieszał na lesie, jak ciemna
Chmura na chmurze. Ani jeden tutaj
Nie wkraść się powiew, tyle sił mający,
Ile ma cichy dnia letniego podmuch,
Wdał unoszący źdźbła pierzastej trawy;
Liść tu umarły zostawał, gdzie upadł,
Samotny potok włókł się oniemiały
I coraz bardziej malał i pochmurniał
Z żalu nad bóstwa swojego upadkiem;
W trzcinach i łozach wylękała najada
Usta swe zimnym zamykała palcem.

W piasku nadbrzeżnym ślady stóp szerokich,
Ale idące do tego li kresu,
Dokąd on dotarł, by spocząć i zasnąć.
Dłoń jego stara, zgrzybiała, olbrzymia
Legła na ziemi darnistej, bezwładna,

Martwa, bez berła; oczy mu przywarły
 Ciężkie powieki, a głowę obwisła
 Tulił do ziemi, jakby nadśluchiwał,
 Czy przyjdzie pomoc od matki odwiecznej.
 Zdawałoby się, iż żadna go siła
 Z miejsca nie ruszy, gdy wtem ktoś się zbliżył
 I, ze czcią wielką schyliwszy się nad nim,
 Przyjazną ręką łagodnie się dotknął
 Jego barczystych, przepotęźnych ramion:
 Pierwszego świata była to bogini.
 Przy jej postaci rosła amazonka
 Równałyby się pigmejce; za włosy
 Pochwyciłaby Achilla i zgięła
 Kark mu ku ziemi; lub też jednym palcem
 Iksijonowe wstrzymałaby koło.

Lica jej były ogromne, prawdziwie,
 Jak to oblicze memfijskiego sfinksa,
 Co gdzieś w dziedzińcu stanął pałacowym,
 Kiedy mędrcom, szukając mądrości,
 Zwracali oczy swe ku Egiptowi.
 Lecz do marmuru jakże niepodobnym
 Było to lice! Jakże było pięknem,
 Jeśli ból wielki nie uczynił bólu
 Jeszcze piękniejszym od samej piękności!
 W jej wzroku czyhał jakiś strach wylękły,
 Jakgdyby klęska zaczęła się właśnie,
 Jakby w dniu burzy przednia straż chmur ciemnych
 Już rozpoczęła swój posiew nieszczęścia,
 A czarny hufiec jął nagromadzonym
 Pracować grzmotem. Jedną rękę swoją
 Do bolesnego przycisnęła miejsca,
 Gdzie u człowieka słycać serca bicie,
 Jakby tam właśnie, chociaż nieśmiertelna,

Czuła ból krwawy; drugą na Saturna
 Złożywszy karku przegiętym, otwarte
 Zbliżyła wargi w stronę jego uszu
 I uroczystym, głębokim, organnym
 Rozbrzmiała dźwiękiem w żalne, smutne słowa,
 Które w akcentach naszego języka —
 O, jakże słabych, ażeby wyrazić
 Pierwotnych bogów rozlewną wymowę! —
 Takieby miały znaczenie: „Saturnie!
 Otwórz swe oczy! — Jakkolwiek dłaczego,
 Ty stary, biedny mój królu?! Pocięchy
 Nie mam ja żadnej dla ciebie — nie, — żadnej!
 Nie mogę rzeknąć: „Czemuś zasnął, panie?“
 Albowiem niebo już cię opuściło,
 I ziemia boga nie widzi w pobitym,
 I morze z swoim uroczystym szumem
 Odbiegło berła twojego, i wszystkie
 Wokół przestwory przestały ulegać
 Twej osiwiątej, dawnej królewskości.
 Grzmoty, nowego świadome rozkazu,
 Opornie tylko huczą ponad naszym
 Upadłym domem, a twa błyskawica,
 Niedoświadczoną kierowana ręką,
 Niszczy i pali te, ongi spokojne
 Nasze dzierzawy. O czasy bolesne,
 O chwile długie, jak lata! Przechodząc,
 Tak wydełyście tę potworną prawdę,
 Tak ją do naszych trosk i ciężkich zgryzot
 Przycisnęłyście, że niedowierzaniu
 Zabrakło miejsca na oddech, Saturnie!
 Śpijże, śpij dalej! O lekkomyślności!
 Jakże ja mogę zakłócać tę ciszę,
 Tę snu twojego samotnie! Jak mogę-ć
 Otwierać oczy, pogrążone w smutku?

Spij, a ja płakać u stóp twoich będę.“
 Jak kiedy w letniej, w sen zakłętej nocy
 Potężnych lasów dumne senatory,
 Wyniosłe dęby w zielonych delijach,
 Oczarowane przez gwiazdy żarliwe,
 Śnią, śnią noc całą, nie drgnąwszy ni razu,
 Chyba, że jakiś powolny, samotny
 Przyplynie powiew, by skonać w te tropy,
 Jakgdyby tylko jedną miało fale
 Przyplływające powietrze — tak samo
 Przyszły i przeszły jej słowa; a ona,
 Zalana łzami, schyliła ku ziemi
 To swoje piękne i szerokie czoło,
 Tak, że jej gęste, spadające włosy
 Podścieliły się przemiękkim jedwabiem
 Pod wielkie stopy Saturna. Już księżyc,
 W leniwych płynąc odmianach, swe cztery
 Srebrzyste pory rozsiał pośród nocy,
 A owych dwoje widać wciąż bez ruchu,
 Podobnych rzeźbom w sklepieniach katedry:
 Ten bóg skostniały leżał wciąż na ziemi,
 A u stóp jego płacząca bogini.
 Nareszcie przyszedł czas, gdy Saturn stary
 Podniósł powieki nad zblakłą źrenicą
 I ujrzał stratę swojego królestwa,
 I wielki smutek i mrok tego miejsca,
 I tę na klęczkach uroczą boginię,
 I, trzęsąc brodą, jak osika trzęsie
 Swojem liściwiem, zaczął bełkoczącym
 Szeptać językiem: „Teo! Złocistego
 Hyperijona nadobna małżonko!
 Czulem cię przedtem, nim jeszcze ujrzałem
 Twoje oblicze — spojrzij na mnie! Spojrzij,
 Abym nasz wyrok zobaczył w twych oczach!

Spojrzuj i powiedz, azali Saturna
 Widzisz tu postać; azali Saturna
 Głos tutaj słyszysz; azali to czoło,
 To pomarszczone, z królewskiej korony
 Odarte czoło — jest czołem Saturna?
 Któż posiadał władzę, aby mnie tak zgnebić?
 Skąd moc ta przyszła i jak mogła wyrósć
 W takie nadmiary, gdym ja przeznaczenie
 Zdawał się trzymać w mych żelaznych garściach?!
 Lecz tak się stało... I otom zduszony,
 Otom niebieskiej pozbawion potęgę
 Oddziaływania na blade planety,
 Rozkazywania morzom i wichurom,
 Nad żniwiarzami spokojnego władztwa —
 Wszystkich tych czynów, któremi najwyższe
 Przynosi bóstwo ulgę swemu sercu.
 Odbiegłem łona własnego, zgubiłem
 Własną istotę, swój byt rzeczywisty,
 Gdzieś między tronem a tym kątem ziemi,
 Na którym siedzę. Patrzaj, Teo, patrzaj!
 Rozewrzyj oczy wieczyste i wlep je
 Hen, w te okręgi! Wlep je w te przestworza,
 Takie gwiazdziste, a przecież tak ciemne,
 Tak pełne życia oddechów, a przecież
 Takie bezpłodne i puste, w płomiennie,
 Lecz takim piekłem ziejące przestworza!
 Patrz, patrz, o Teo! I powiedz, czy widzisz
 Postać lub cień jej, torującą drogę
 Na dumnych skrzydłach lub płomiennym wozie,
 Aby na nowo opanować niebo,
 Które przed chwilą straciła!... Posłuchaj!
 Dojrzali muszą iść naprzód! Saturnus
 Musi być królem! Tak, złote zawitać
 Musi zwycięstwo, paść muszą bogowie,

A zabrzmieć surmy spokojnych tryumfów;
 Nad mej stolicy ziociste obłoki
 Przeuroczyste muszą płynąć hymny,
 Tony łagodnych odezwo i obwieszczeń
 I srebrne muszli wyzłobionych dźwięki!
 I nowe piękna stworzymy rodzaje,
 Aby się niebios radowały dzieci...
 Ja wydam rozkaz...Teo! Teo! Teo!
 Ach, gdzie jest Saturn? Słuchaj, gdzie jest Saturn!?"

Z wielkiego bólu dźwignął się na nogi,
 Ściśnięte pięści wyteżył do góry
 I druidycznym jął potrząsać włosom,
 Że aż kroplistym ociekał mu potem;
 W źrenicach jego rozgorzały ognie
 I głos mu w krtani uwiązał ze wzruszenia.
 Stał i nie słyszał Tei westchnień długich;
 Potem, za chwilę, te mu się poczęły
 Wyrywać tony: „Ale mogąż życie
 Innym dać światom?... Tak, innym istnieniom,
 By przewyciężyć i zniszczyć dzisiejsze?
 Gdzie drugi chaos?... Gdzie?...“ Ku Olimpowi
 Znalazło drogę to słowo i dreszczem
 Przejęło trójkę buntowników. Tea
 Zadrgnęła z trwogi, ale w jej wyrazie
 Przebłyśły jakieś nadzieje, i głosem
 Żywym, lecz pełnym wielkiej czci, wyrzekła:
 „To nam pokrzepi ten nasz ród upadły;
 Chodź do przyjaciół, dodaj im otuchy!
 Znam ich ustronie, boć stamtąd przybywam.“
 I tyle słów jej; a potem z błagalną
 Prośbą w źrenicach wstecz zwróciła kroki,
 Wskroś mrocznej puszczy; Saturn poszedł za nią.
 Ona go wiodła, skierowawszy drogę

Wśród starych gąszczy, co się poddawały,
 Jak mgła, gdy orły wzlatują nad gniazda.

Tymczasem w innych dzierżawach roniono
 Łzy przeogromne, i jeszcze tam krwawszy
 Ból się wylewał, i żal był tak wielki,
 Że nie wyrazi go ni język ludzki,
 Ani też pióro; groźny ród tytanów,
 Sam się ukrywszy, albo w pętach leżąc,
 Nad utraconem jęczał panowaniem
 I w męce srogiej ciągle nadśluchiwał,
 Żali się Saturn nie ozwie. Lecz jeden
 Z tego plemienia mamutów wciąż jeszcze
 Dzierżył swe władztwo, swą moc, swój majestat:
 W kregu swych ogni wciąż jeszcze płomienny
 Siedział Hyperjon, wciąż wdychał kadzidlą,
 Z męża na boga rosnać słonecznego —
 Ale niepewnie; bo jak w nas śmiertelnych
 I dreszcz i trwogę straszne budzą znaki,
 Tak i on również drżał, lecz nie, jak człowiek
 Na głuche wycie psa lub krzyk pułacza,
 Lub, gdy przyszedłszy do kogoś ze swoich,
 Usłyszy naraz jego dzwon pogrzebny
 Lub modły księży w północ przy gromnicach —
 Tylko przestrycha, owładnąwszy każdym
 Nerwem olbrzymia, częstokroć dręczyły
 Hyperijona. Jego gmach, okolon
 Piramidami z jarzącego złota,
 Cieniem brązowych przyćmion obelisków,
 Krwawo się żarzył w tysiącach podwórców,
 Łuków, i kopuł, i łśnistych galeryj;
 A wszystkie chmurek jutrznianych przesłony
 Płonęły gniewnie; orle bowiem skrzydła,
 Niewidne dotąd bogom ni zdumionym

Oczom człowieka, od czasu do czasu
 Rzuciły pomrok na pałac; rumaków
 Słysząc też było rzenie, niesłyszane
 Dotąd ni bogom ani zdumionego
 Uszom człowieka. A kiedy Hyperjon
 Pragnął piersiami swemi chłonać kłęby
 Wonnych kadzidel, z świętych wzgórz płynące,
 Jego olbrzymie czuło podniebienie
 Zabójczej miedzi jadowity posmak.

Toż po spełnionym dniu, gdy znalazł przystań
 W usypiającym zachodzie, nie szukał
 Boskiego wczasu na łożu wyniosłem,
 Ni snów rozkosznych w objęciach melodyj,
 Tylko odpędzał godziny spoczynku,
 Niezmierzonymi od hali do hali
 Chodząc krokami. A zasię skrzydlate
 Jego rumaki stały w zbitych stadach
 Zdala od schronisk zacisznych, zdumione
 I pełne trwogi tak, jak się wylekłe
 Skupiają tłumy na wielkiej równinie,
 Kiedy ich zamki i warowne grody
 Padły od ziemi trzęsienia... W tej chwili,
 Kiedy Saturnus, przebudzon z letargu,
 Trop w trop za Teą podążał lasami,
 Hyperjon, zmierzchy zostawiwszy w tyle,
 Przybył, schylony, ku progom zachodnim
 I, jako zwykle, bramy jego zamku
 Rozchyliły się w przełagodnej ciszy;
 Tylko poważne zefiry poczęły
 Z tub uroczyste wydobywać tchnienia
 Przesłodkich dźwięków cichych, przytłumionych,
 Rozpływających się w okrąg melodyj.
 I, niby róża, cała w karmazynach,

Skąpana w woniach, a zimna dla oka,
 Stało to wejście, rozkwitłe, rozwiane,
 Oczekujące majestatu boga.
 Wstąpił, lecz wstąpił przepelniony gniewem.
 Wokół stóp jego płomieniste suknie
 Syk wydawały wzdętymi fałdami,
 Jakby z ziemskiego pochodzący ognia,
 A który ploszył niebiańskie godziny
 I dreszcz w ich skrzydła przelewał gołębie.
 I tak w iskrzących kroczył błyskawicach
 Od jednej nawy wspaniałej do drugiej,
 Pod wiązaniami wlopień, pośród altan,
 Powyplatanych sknem blasków liściem,
 Wskroś diamentami wysadzanych arkad,
 Pokąd nie dotarł do głównej kopuły.
 Stanąwszy pod nią, gniewnie tupnął nogą.
 Że aż od posad do najwyższych szczytów
 Gmach jego zagrzmiął złocisty. Lecz zanim
 Zdołał ucichnąć ten grzmot wibrujący,
 Głos jego strzelił do góry i huczał
 Gromom naprzekór: „O sny dnia i nocy!
 Kształty potworne! Obrazy boleści!
 Zjawiska, w zimnych żyjące pomrokach!
 Widziadła bagnisk, czarnem krytych zielskiem!
 Czemum was poznał? Czemum was zobaczył?
 Czemuż ta moja wieczysta istota
 Tak oszalała, że mogłem was ujrzeć,
 Że mogłem patrzeć na te strachy nowe!
 Upadł Saturnus, więc i ja mam upaść?
 Mam i ja rzucić tę przystań spokoju,
 Tę chwały mojej kolebkę, ten cichy
 A bujny zbytek niebiańskiej światłości,
 Tę schroń uroczą, te lśniste przybytki,
 Te kryształowe moje pawilony,

To moje całe jaśniejące władztwo?
 Dziś ono puste, sieroce, nikt z moich
 W niem już nie gości. O biada! Nie widzę
 Blasku, ni ognia, ni kształtów harmonji,
 A tylko ciemność widzę, śmierć i ciemność!
 Tutaj, w sam środek mojego schroniska
 Wtargnęły widma ponure i władna,
 I znieważają, i tłumią, i gaszą
 Wszystką mą chwałę... Upaść?! Nie! Na Tellus
 I na jej słońce suknie! Nad płomiennie
 Granice mego królestwa wyciągnę
 Straszliwe ramię i precz, precz odpędzę
 Gromowładnego młodzieniaszka, zgniebie
 Zbuntowanego Jowisza i każe,
 Aby na tronie siadł znów Saturn stary!“
 Rzekłszy to, zamilkł, albowiem mu w gardle
 Ciężka uwięzła groźba, niemogąca
 Dobyc się najaw. Bo jak w ciżbie ludzi,
 Na widowisku jakimś zgromadzonych,
 Hałas się wzmaga i rośnie, im bardziej
 Krzyczy ktoś: „Cicho!“ — tak też i na słowa
 Hyperijona zbiegły się widziadła,
 Potrzykroć zimne, i straszne, i blade,
 A z zwierciadlanej powierzchni, gdzie stały,
 Podniósł się opar, jak z bagien spienionych.
 A on, przygniecion swym bólem ogromnym,
 Włókł się miarowo od stóp aż do głowy —
 Tak wąż olbrzymi, muskularny, giętki,
 Zwolna toruje sobie drogę, skronią
 Trzęsąc i karkiem z nadmiaru wysiłku.
 Wyswobodzony, dobiegł wschodniej bramy
 I przez rosistych sześć godzin, nim zdołał
 Świt się zrumienić w swej właściwej chwili
 Groźnym oddechem dął w uśpione wrota,

Zwolnił je z ciężkich oparów i nagle
 Rozwarł naocież ponad zimną fałą
 Oceanową. Krąg ów płomienisty,
 Na którym codziennie toczył się wskrosz niebios
 Z wschodu na zachód, obracał się w kirach
 Obłocznych opon, lecz przez to nie bywał
 Nigdy przyćmiony całkiem i zakryty,
 Gdyż jaśniejące sfery i kolura,
 Łuki i koła, przeświecały zawsze
 Przez te przesłony, od głębin nadiru
 Aż do zenitu tworząc precudowne
 Kształty błyskawic — dawne hieroglify,
 Które uczona mądrość bystrookich,
 Ongi żyjących tutaj astrologów
 Umiała, w długie zapatrzona wieki,
 Odczytać myśli wyteżoną pracą;
 Dzisiaj ich niema — zabytki zostały
 W czarnych marmurach i głazach; ich wiedza
 Zgasła i przeszło dawne ich znaczenie.
 Krąg dwa miał skrzydła, dwa srebrzyste skrzydła,
 Co się wznosiły, skoro bóg się zbliżał.
 I dziś ich pióra olbrzymie zaczęły
 Wyrastać, jedno po drugim, z pomroków,
 Pokąd się wszystkie nie rozpięły; glob zaś
 Oślepiający stał pośród ciemności
 I na rozkazy czekał Hyperjona.
 Chętnie ten byłby wydał swe zlecenie,
 Chętnieby zajął tron i rad nakazał,
 By dzień się począł — ale nadaremnie:
 Nie mógł, jakkolwiek był z pierwotnych bogów,
 Pór uświęconych porządku zakłócić
 On nawet nie mógł; w narodzinach swoich
 Świt się powstrzymał, jak tu powiedziano.
 Siostrzana para owych skrzydeł srebrnych

Stała rozpięta, ażeby nareszcie
 Krąg swój poruszyć; przedsonki — otwarte
 Ponad ciemnymi dzierzawami nocy;
 I oto tytan promienny, szalony
 Z nowego bólu, dotąd nieprzywykły,
 By się naginać, teraz, koniecznością
 Zmuszony twarzą, ugiął ducha swego
 Pod troską chwili i, przepelnion żalem,
 W słabym oblasku leży wzdłuż poszarpanych
 Strasznie obłoków na dnia rozgraniczu
 I mrocznej nocy. A kiedy tak leżał,
 Niebo gwiazdami swojemi litośnie
 Spojrzało k niemu i z dali bezmiernych
 Do uszu jego spłynął głos Coelusa
 W tych uroczystych i cichych poszeptach:
 „Najpromienniejszy z moich drogich dzieci,
 Urodzony z ziemi, splotzony przez niebo,
 Synu tajemnic, niepojętych nawet
 Dla sił, co były przy twem powstawaniu!
 Oto ja, Coelus, sam zdumiony jestem,
 Skąd i jak przyszły te radości twoje,
 Ta słodycz dreszczów rozkosznych; w zdumienie
 I mnie wprawiają te ich mnogokształtne,
 Widne owoce; te boskie symbole,
 Te objawienia życia, rozlanego
 Po głębiach wiecznych przestworów. O, słuchaj!
 Wśród nowych kształtów braci twych i bogiń
 Najpromienniejszem ty jesteś dziecięciem!
 Spór między wami dziś powstał i rokosz
 Syna przeciwko ojcu. Jam go widział
 Padającego; jam widział, jak z tronu
 Mój pierwotny się walił. Ramiona
 Wyciągał ku mnie; poprzez wszystkie gromy,
 Które szalały mu naokół głowy,

Do mnie przedarło się jego wołanie.
 Zbladłem i w chmurach ukryłem oblicze.
 Czyś i ty bliski takiego wyroku?
 Czuję tu jakiś strach nieokreślony,
 Albowiem widzę, że moi synowie
 Już nie podobni do bogów. Boskimi
 Byliście z swego poczęcia, w spokoju
 I uroczystej władnościście dumie,
 Bóstwa wyniosłe, i nikt nie zakłócał
 Waszego życia ni waszej potęgi;
 Dziś we was widzę strach, gniew i nadzieję,
 Objawy bólu i złości; prawdziwie,
 Jak u śmiertelnych, żyjących tam, wdole!
 Gorycz tu dzisiaj, mój synu! Ponure
 Znaki zaniku, rozpaczy, upadku!
 Lecz ty zbierz siły, jakoś mocen tego,
 Jako że możesz ruszać się naokół —
 Bóstwo widzialne — i możesz wszelakiej
 Krnąbrnej godzinie natychmiast urągać
 Swoją w eterach jawną obecnością!
 Jam tylko głosem, me życie jest tylko
 Żywotem fali i wichru — wydołam
 Jedynie tyle, co wicher i fala —
 Ale ty możesz! Na czoło wypadków
 Stań więc i strzałę schwyć za opierzenie,
 Nim naciągnięta wyda świst cięciwa.
 Dalej! Na ziemię! Tam znajdziesz Saturna
 Wraz z jego bólem. Ja będę tymczasem
 Strzeżł twego słońca jasnego, opiekę
 Będę miał baczną nad twemi porami.“

Zanim połowa tych szeptów przestwornych
 Dotarła na dół, Hyperjon się podniósł
 I hen, ku gwiazdom, zwrócił swe powieki

Hyperjon.

I wciąż je trzymał otwarte, dopóki
 Nie umilkł poszept; i wciąż je otwarte
 Trzymał, a gwiazdy były wciąż tak samo
 Jasne, milczące. A potem, powoli
 Skłoniwszy głowę na szerokie piersi,
 Jak nurek, w morze idący perliste,
 Pokroczył naprzód powietrznem obrzeżem
 I cicho w nocy utonął głębinach.

KSIĘGA II.

A na to samo uderzenie wielkich,
 Szerokich skrzydeł czasu, gdy Hyperjon
 Utonął w falach powietrznych, Saturnus
 Dotarł wraz z Teą do posępnej schroni,
 W której Cybelę i innych pobitych
 Szarpał tytanów żal nad straszną klęską.
 Była to grota, gdzie światło zuchwałe
 Nie mogło padać na ich lzy, gdzie oni
 Czuli swe jęki, lecz ich nie słyszeli,
 Bo je tłumili grzmoty wodospadów
 I ciągle szумы ochrypłych potoków.
 Urwiste granie i podarte turnie,
 Jakgdyby ze snu strzeliwszy do góry,
 Potworne swoje wysuwały wierzchy
 I fantastycznych tysiącem załomów
 Dziwnie stosowne tworzyły sklepienie
 Dla tego gniazda boleści. Tytani,
 Zamiast na tronach, siedzieli na twardych
 Piargach krzemiennych, albo spoczywali
 Na ostrych głazach i na najeżonych
 Kruszcami złomach łupkowych. Niewszyscy
 Byli tam razem; jednych udreżwały
 Ciężkie kajdany, inni gdzieś bładzili.

Coeus i Gyges oraz Briareusz,
 Porfirjon, Dolor i Tyfon, i inni,
 Najodważniejsi, najzuchwalsi w szturmie,
 Znosili karę straszliwą w regionach,
 W których zamierał im oddech. Więzieni
 W żywiolach mroków, zgrzytali zębami,
 A wszystkie członki ich, podobne żyłom
 Jakiegoś kruszczu, leżały bez ruchu,
 Powykręcane albo wyprężone;
 Tylko ich serca, strasznym żarte bólem,
 Febrycznych ogni pełne, głośno biły
 Pulsem krwi wrzącej. Po świecie szerokim
 Gdzieś się błakała Mnemosyne; Febe
 Błądziła zdala od swego księżycy;
 I wielu innych nawykło wędrować
 Po różnych stronach, lecz dzisiaj znaleźli
 Schron tutaj straszny. I porozrzucane
 Leżą naokół te obrazy życia,
 Ogromne, martwe, niby druidyczne
 Głazy na smutnych, opuszczonych bagnach,
 Kiedy w posepny czas listopadowy
 Deszcz zacznie padać pod wieczór, a niebo
 W mrok swe oltarne otula sklepienia.
 Każdy miał tutaj swoją ustroń własną
 I ni spojrzeniem, ni słowem, ni jakimś
 Rozpaczonym czynem, nie zwracał się wcale
 Do swych sąsiadów. Jednym z nich był Kreis.
 Jego potężna, żelazna maczuga
 Leżała przy nim, a gładne, strzaskane
 Żebro opoki świadczyło wymownie,
 Jaką miał w duszy przewspaniałość siły,
 Nim padł, zwyciężon, w smutku i żalobie.
 Drugim był Japet, trzymający w garści
 Śliski kark węża; temu żądłowaty

Z gardzieli zwiślał język, zasiał kregi,
 Wzdłuż rozprężone, opadły zdrewniałe:
 Dziś już ten potwór nie mógł bryząć jadem
 W twarz zwycięskiego Jowisza. Tuż obok,
 Twarzą do ziemi, leżał Kottus, czaszką
 Bijąc straszliwie o krzemienne głązy,
 Usta z cierpkiego wykrzywiając bólu
 I przewracając oczyma. Opodał
 Widziałeś Azję, Kafa olbrzymiego
 Potężną córkę, co, chociaż niewiasta,
 O wiele więcej matce swej, Tellurze,
 Sprawiała cierpień, niż który z jej synów.
 Więcej zadumy było w jej obliczu,
 Niżli męczarni, gdyż wzrokiem proroczym
 Widziała przyszłą swą świetność: w palm cieniu
 Przez jej szeroką wyobraźnię rosły
 Na świętych wyspach Oksu i Gangesu,
 Współzawodnicząc w mocy i ogromie,
 Wielkie przybytki, wspaniałe świątynie.
 Jak się nadzieja wspiera na kotwicy,
 Tak też i ona, aczkolwiek mniej wdzięczna,
 Stała oparta na zębie, wypadłym
 Przenajwiększemu z jej słoni. Ponad nią,
 Na stromej turni, leżał wyciągnięty,
 Wsparty na łokciach, chmurny Enceladus.
 Dawniej łagodny był on i spokojny,
 Jak wół, pasący się na kwiatnych błoniach,
 Nierozsierzdzony przez nikogo; teraz,
 Wściekły, jak tygrys, jak lew, knowający,
 Myślał i dumał, snuł jakoweś plany;
 On to niedawno rzucał naokoło
 Góry na góry w długiej wojnie bogów,
 Młodsze smagając bóstwa, że, spłoszone,
 Kryły się w zwierząt i ptaków postaci.

Obok był Atlas; przy nim ojciec Gorgon,
 Forkus, nawznak się położył. W sąsiedztwie
 był Oceanus i Tetys. W spowiciu
 Włosów na łonie jej błaka Klymene.
 A wśród nich wszystkich Temis u stóp Opsy,
 Onej królowej, osłoniętej mgłami,
 Niewiecej oczom widzianej, niż ciemne
 Wierzchołki świerków. gdy je noc głęboka
 Otuli w chmury. Było-ci tam jeszcze
 I wielu innych, których nie wymienię.
 Bo kiedy muza wzniesie się na skrzydłach
 W wyże powietrzne, któż wstrzyma jej loty?
 A teraz śpiewać musi o Saturnie
 I towarzysze jego, którzy chwiejnym
 Wydobywali się krokiem z głębiny
 Straszliwej puszczy. Ponad ciemną turnią
 Pojawiły się ich głowy; ich postać
 Rosła i rosła, aż się krok ich zrównał
 Z poziomem szczytu i spoczął. I wówczas
 Tea, ramiona rozpostarliszy drżące
 Wkrąg nad tem gniazdem katuszy i zboku
 Wlepiwszy oczy w oblicze Saturna,
 Ujrzała ciężką w niem walkę. Najpierwszy
 Z pomiędzy bogów zmagał się z wszelaką
 Słabością bólu, gniewu, przerażenia,
 Zemsty, wyrzutów, żalu i nadziei,
 Ale najbardziej z rozpaczą. Daremnie
 Walczył przeciwko tym plagom, albowiem
 Na głowę jego połało już Fatum
 Olej śmiertelny, jad, co mu odbierał
 Piętno boskości; i Tea, przelekkła,
 Dała mu spokój, puściwszy go naprzód
 Między olbrzymów zwyciężone plemię.
 Jak między nami, śmiertelnymi ludźmi,

Serce, dotknięte bólem, jeszcze bardziej
 Rwie się i szarpie, jeżeli się zbliża
 Do progów domu, gdzie serca boleją
 Równem cierpieniem, tak i Saturn, wszedłszy
 Między pobitych, o mało nie upadł.
 Ale się spotkał z okiem Encelada,
 A wyraz mocy i czci, w niem zawarty,
 Przejął go niby natchnieniem. I krzyknął:
 „Patrzcie, tytani, na boga waszego!“
 I na to jedni zajękli, a inni
 Z miejsc się porwali na nogi, znów inni
 Ten sam ze siebie wyrzucili okrzyk,
 Lub wybuchnęli płaczem albo skargą,
 A wszyscy z czcią się skłonili przed bogiem.
 I Ops, zasłony uchylivszy czarnej,
 Skroń ukazała błądą, zgasłe lica,
 I wielkie łuki brwi, i głębię oczu.
 Szumy powstają w ciemnych wierzchach świerków,
 Gdy zima głos swój rozpuści; szmer idzie
 Po nieśmiertelnych, kiedy bóg do góry
 Podniesie palec na znak, że w tej chwili
 Obciąża język swój ciężarem myśli,
 Muzyką grzmotów i błyskawic: szmer ten
 Jest, jak ów poszum w ciemnych wierzchach świerków.
 Gdy ten zamilknie w swoim górskim świetcie,
 Żaden już podźwięk nie nastąpi po nim;
 Ale gdy tutaj, między pobitymi,
 Szmer ów przystanął, począł głos Saturna
 Rość niby organ, który wraz na nowo
 Brzmieć rozpoczyna, kiedy przygłuszone
 Przystaje drzeć już powietrze od srebrnych,
 Nagle urwanych brzmień poprzednich... Oto
 Jak głos ten zwolna wzmagął się: „W mem sercu,
 Które jest własnym swym sędzią, nie mogę,

Nie umiem znaleźć przyczyny, dlaczego
 To nas spotkało. Nie mogę jej znaleźć
 Ani w legendzie o pierwszym dniu świata,
 Zawartej w księdze o stronicach z ducha,
 Którą Uranus gwiazdzisty swym jasnym
 Zratował palcem od brzegów ciemności,
 Kiedy ją chciały lekko wzdęte fale
 Pograżyć w swoich półmrokach; w tej księdze,
 Którą wy znacie, a którą dla siebie-m
 Za silny wybrał podnózek — niestety,
 Jak mało silny! — w znakach, ni symbolach,
 Ani we wróżbach żywiołów, powietrza,
 Ognia, i wody, i ziemi; w pokoju,
 Wojnie, czy sporze wzajemnym jednego
 Przeciw jednemu, dwom, lub trzem, lub **wszystkim**,
 Albo gdy każdy poszczególne walczy
 Z trzema drugimi, jak ogień z powietrzem
 Głośno się zмага, kiedy strumień deszczu
 Zalewa obu i obu przyciska
 Do twarzy ziemi, przyczem, skoro znajdu
 Siarkę, poczwórna już tym biednym światem
 Wtrząsa i szarpie nawała, — w tej nawet
 Potwornej walce, z której potrafiłem
 Głęboką czerpać naukę, nie umiem
 Znaleźć powodu, przez co nas spotkało.
 Nie, nie! Choć śledzę, choć ślepię, nieomal
 Omdlewający, nad księgą natury,
 Nad rejestrami wszechbytu, nie mogę
 Dotrzeć do przyczyn, dla których wy, bóstwa,
 Wy pierwsi z widnych, dotykalnych bogów,
 Takeście marnie ulegli tej sile,
 Co, gdy ją z waszą porównać, nie wzbudza
 Żadnego strachu... A jednak leżycie
 Przewycięzeni, pobici, w pogardzie!

Mówię: „powstańcie, tytani!“ — jęczycie.
 Mówię: „w proch z wami!“ — jęczycie! Cóż zrobić?
 O wielkie niebo, ojczcie niewidzialny!
 Cóż ja wydołam? O bracia bogowie,
 Wskażcie mi drogę, jak bojować mamy,
 Jak mamy gniew swój ukoić szalony!
 Podajcie radę! Łaknie jej zgłodniałe
 Ucho Saturna. W tobie, Oceanie,
 Mieszka rozważa, szczytna i głęboka;
 Z podziwem patrzę, jak na licu twojem
 Myśl natężona rodzi pewne siebie
 Zadowolenie — dopomóż, dopomóż!“

Tak skończył Saturn; a wówczas bóg morza,
 Mędrzec-sofista, nie z gajów ateńskich
 Czerpiący wiedzę, lecz z mroku wód swoich,
 Wstał, z nieociekłym naokoło włosem,
 Aby poszeptem, który język jego
 Chłonał, w swych pierwszych wysiłkach, jak dziecko,
 Od tych pieniających się piasków nadbrzeżnych,
 Taki rozpocząć rozhowor: „Bogowie,
 Wy, którzy własnym dławicie się żalem,
 Szarpani gniewem, pożerani złością,
 W kurczach ginący z tej bolesnej kłęski,
 Przytępcie zmysły, ten swój słuch przytłumcie,
 Gdyż w moim głosie nie grzmi zapalczywość!
 Przecież, kto pragnie, niechaj mnie wysłucha,
 Albowiem chcę wam dać dowód, jak chętnie
 Każdy się ugiąć powinien; a wiedzcie,
 Że w tym dowodzie niosę wam pociechę,
 Jeżeli czerpać chcecie ją z tej prawdy.
 Prawo natury zmogło nas, nie siła
 Gromu lub Zeusa. O wielki Saturnie,
 Wszechświat atomów tyś przejrzał najlepiej,

Ale żeś królem i że ślepym jesteś
 Właśnie przez swoją królewskość, dlatego
 Jedną twym oczom zakryta jest droga,
 Którą ja szedłem ku prawdzie wieczystej.
 Więc przedewszystkiem: jak nie byłeś pierwszą,
 Tak też nie jesteś potęgą ostatnią
 I być nie możesz. Nie jesteś początkiem
 Ani też końcem! Chaos to i Ciemność
 Stworzyły światło, ten najpierwszy owoc
 Wewnętrznych bojów, ponurych zaburzeń,
 Dojrzewających dla celów przedziwnych.
 Nadeszła chwila dojrzenia, z nią światło —
 I światło, z własnym skojarzone stwórcą,
 Wydało wszystką bezmierną materję.
 I objawili się nasi rodzice —
 Niebo i Ziemia — w tej samej godzinie,
 A potem świata objęliśmy władzę:
 Ty, pierworodny, i my, ród olbrzymów.
 Teraz ból prawdy idzie, jeśli komu
 Będzie on bólem! Szaleństwo! Boć przecie
 Z spokojem znosić wszystką prawdę nagą
 I wszystkie losy — to szczyt wspaniałości!
 Baczcie, co mówię! Jak Niebo i Ziemia
 Wdyć doskonalsze, niż Chaos i Ciemność,
 Choć i te ongi miały panowanie;
 Jak zasię po nich widzimy Niebiosa
 I Ziemię w kształtach potężne i piękne,
 W woli i czynach wolne, a łączliwe,
 Oprócz tysiąca innych, jawnych znaków
 Czystsze życie — tak dziś w nasze ślady
 Wstępuje świeża, piękniejsza potęga,
 Z nas urodzona i nato, ażeby
 Wzbić się nad nami, jako myśmy ongi
 Zmogli chwalebnie dawną moc Ciemności.

A przeto klęska nasza nie jest większą,
 Niż bezkształtnego upadek Chaosu,
 Sprowadzon przez nas. Czyż ta bryła gleby
 Może urągać losom, które sama
 Wyhodowała i ciągle hoduje,
 A które od niej tyle czarowniejsze?
 Czyż może ona nie uznać przewagi
 Zielonych gajów? Albo czyliż drzewo
 Śmie gołębicę zazdrościć, że grucha
 I że na śnieżnych polatuje skrzydłach,
 Kędy jej wola, gdzie ma rozkosz swoją?
 My to jesteśmy, jak te drzewa w lesie.
 Tylko, że z naszych wspaniałych gałęzi
 Nie wyszły blade, samotne gołębie,
 Lecz złotopióre orły, co szybują
 W swojej piękności wysoko nad nami
 I przez to muszą panować, albowiem
 Takie jest prawo: kto pierwszy pięknoscią,
 Ten ma być pierwszy i władzą. Zapewne,
 Przez to odwieczne prawo tak się stanie,
 Że nowe plemię wtrąci kiedyś w smutek
 Naszych zwycięzców, jaki nas dziś gniecie.
 Czyście widzieli wóz młodego boga,
 Co moje zabrał dziedzictwo?... Słuchajcie,
 Czy widzieliście to jego oblicze,
 Ten wóz, naokół bryzgający pianą,
 Zaprzężon w lotne, skrzydlate rumaki,
 Stworzone przezeń samego? Jam widział,
 Jak mknął po gładkiej, spokojnej przestrzeni,
 Z ogniami takiej piękności w źrenicach,
 Żem smutne zaraz rzucił pożegnanie
 Swemu królestwu. Smutniem się pożegnał
 I otom przybył, ażeby zobaczyć,
 Jak bezlitośnie przemogły was losy

I czy nie mógłbym dodać wam otuchy
W tym strasznym bólu. Przyjmijcie tę prawdę,
I niechże ona będzie wam balsamem!"

A kiedy przebrzmiał szept Oceanowy,
Umilkli wszyscy — z gniewu, czy dlatego,
Że ich przekonał i zawstydził? Jakaż
Myśl to odgadnie, choćby się najgłębiej
Zastanowiła? Przecież tak się stało,
Że nikt doraźnej nie miał odpowiedzi,
Oprócz Klymeny, na którą nie zważał
Żaden z obecnych. Lecz i ta nie nato
Poczęła mówić, aby odpowiadać,
Tylko, z przedziwną łagodnością w oku
Na zasmuconych spoglądając bogów.
Taką wargami poczerwieniałemi
Zaniosła cichą, bojaźliwą skargę:
„Ojcze! Jam tutaj najślabszym jest głosem
I wiem jedynie to, że znikła radość
I że ból wpełznął do naszego serca,
Aby w niem zostać, ach, może na zawsze!
Nie chcę być wróżką złego, jeśli mniemam,
Że takie słabe mogłoby stworzenie
Odwrócić pomoc, która się nam z prawa
Od bóstw należy wszechwładnych. Pozwólcie
Wyjawić przecież mą troskę, pozwólcie
Powiedzieć sobie, co doszło mych uszu,
Co mi wyciska łyzy i przekonywa,
Że nas już wszystkie odbiegły nadzieje!
Stałam na brzegu, na uroczym brzegu,
Dokąd z krainy ciszy, drzew i kwiatów
Zalatywały przewonne powiewy.
Wszystko spokoju pełne i rozkoszy,
Jak ja cierpienia — tak pełne radości

I rozkosznego, łagodnego ciepła,
Że serce moje poruszyła żądza,
By łyżyc samotność, aby jej zlorzeczyć
Pieśniami skargi, muzyką tych naszych,
Nieszczęsnych bólów. Siadłam, wzięłam konchę
I jełam szeptu przelewać w jej wnętrze
I snuć melodję — o, już nie melodję,
Bo, gdym śpiewała, głuche muszli echa
Śląc nieudolnie na tchnienia powietrzne,
Z przeciwnej strony, od wyspy lesistej,
Oblanej wodą, dźwięk przyplłynął ku mnie
Z pogwarem wiatru — dźwięk tak czarujący,
Że mi zagarnął słuch i porwał całą.
W piasek rzuciłam swą konchę, a fala
Wraz napełniła jej wnętrze, jak moje
Napełniał zmysły pogłos tej złocistej,
Nowej melodji. W każdym rajskim dźwięku
Śmierć była żywa, — w każdym ich strumieniu,
Które płynęły wciąż, jeden za drugim,
I znów się razem zlewały, jak perły,
Kiedy się sypią z przerwane go sznura.
I potem znowu jedna pieśń za drugą
Poczęły krążyć naokół mej głowy,
Niby gołębie, które, pofrunawszy
Z swoich gałęzi oliwnych, muzykę
Mają w swych skrzydłach zamiast piór milczących,
I o chorobę wnet mnie przyprowadziły —
Razem z zazdrości i bólu. Ból przemógł,
I odurzone zatkam sobie uszy,
Gdy wtem, pomimo drżących rąk oporu,
Przedarł się ku nim głos przenajdźwięczniejszy,
Głos wołający: „Młodzieńczy Apollo!
Apollo! Młody, jutrzniany Apollo!“
Chciałam uciekać, lecz głos mnie doścignął,

Głos wołający: „Apollo! Apollo!“
 O ty, mój ojczu! O bracia! Gdybyście
 Czuli mą boleść, gdybyś ty, Saturnie,
 Czuł, co ja cierpię, nigdybyście moich
 Nie potępili słabych słów, że śmiały
 Mieć uroszczenie, by je wysłuchano.“

Głos jej popłynął, jak potok łekliwy,
 Który, krzemiennem włokąc się łożyskiem,
 Boi się spotkać z morzem; ale morze,
 Wraz go spotkawszy, zadrżało: potężny
 Głos Encelada wielkim wezbrał gniewem.
 Jak głuchy łoskot fal w napół ukrytych
 Jaskiniach turnic, huczały bałwany
 Ciężkich wyrazów, które z swego łona
 Wylewał, wsparty na łokciach; nie wstawał
 Z wielkiej pogardy: „Mamy li, bogowie,
 Słuchać tu dzisiaj olbrzymów przemądrych,
 Czy też przegłupich? Piorun za piorunem,
 Do ostatniego wyrzucan z zbrojowni
 Zdrajcy Jowisza, jeden świat za drugim
 Na moich piętrząc ramionach, niewiększą
 Sprawił mi boleść, niż dziecinne słowa
 Śród tych straszliwych pogromów. Tytani!
 Zbudźcie się ze snu! Krzyczcie! Drżycie! Ryczcie!
 Zapomnieliście o tych ciszach krwawych,
 O tych hańbiących policzkach? Was wszystkich
 Zmiażdżyło ramię dzieciucha! Słyszycie?!
 A ty, wrzekomy władco wód, czy dzisiaj
 Już zapomniałeś płomiennych błyskawic,
 Które smagały twe morza? Co? Jakto?
 Więc z odrętwienia mogło was obudzić
 Te kilka prostych słów mych? O radości!
 Teraz ja widzę, żeście niezgnębieni!

Teraz już widzę, jak oczu tysiące
 Goreją żądzą odwetu!“ To mówiąc,
 Wypreżył w górę swą postać olbrzymią
 I, wstawszy z miejsca, tak przemówił dalej:
 „Teraz jesteście płomieniami, ja was
 Nauczę palić, ja wam dziś pokażę,
 Jakby od wrogów oczyścić powietrze,
 Jak porozżagwiać kręte ognia groty
 I jak spopielić wzdęty obłok Zewsa,
 Jak młodzieniaszka tego w jego własnym
 Zdusić namiocie. O, niechaj odczuje
 Zbrodniczą krzywdę, krórą nam wyrządził!
 Bo chociaż gardzę słowem Oceana,
 Ja nad czemś więcej boleję tu dzisiaj,
 Niż nad utratą królestwa: minęły
 Chwile spokoju i senliwej ciszy —
 Chwile, tak obce niweczącym walkom
 Gdy wszyscy niebios nadobni mieszkańcy
 Schodzili ku nam z rozwartą żrenica
 Słuchać słów naszych. Było to, gdy jeszcze
 Nie marszczyły się gniewnie wasze czoła,
 Gdy usta wasze znały li jedynie
 Solenne dźwięki; było to, gdy jeszcze
 Nie było znane skrzydlate zwycięstwo,
 Bądź utracone, bądź też odniesione.
 A pamiętajcie, że dotąd Hyperjon
 Nie uległ hańbie, brat nasz najjaśniejszy,
 O, tak, Hyperjon — oto jego promień!“

Wszystkich się oczy zwróciły ku licom
 Enceladowym, i gdy z ust tytana
 Ku szczytom turnic popłynęło imię
 Hyperijona, spostrzegły, jak bladym
 Przebłyskiem światła drgały jego rysy.

BIBLIOTEKA GIMNAZJUM

im. kr. Zygmunta Augusta.

Szafa.....Półka.....

№.....Dział.....

Inw. №.....

Nie było w rysach tych gniewu, bo widział,
 Że inne bóstwa tak samo płonęły
 Żadną pomszczenia. Spójrzył po nich wszystkich
 I w twarzach wszystkich dostrzegł promień blasku.
 Ale najbardziej gorzał Saturn stary:
 Włos jego siwy lśnił się, jako piana,
 Obryzgująca wokół piersi statku,
 Kiedy północą wjeżdża do zatoki.
 I tak w tej bladej, srebrnej stali ciszy,
 Gdy światło jakieś, by odrzask poranku,
 Przenikło naraz wszystkie strome skały,
 Wszystkie posępne schronie zapomnienia,
 Wszystkie cieśniny, wszystkie przepadliska,
 Wszystkie te turnie, wszystkie czarne głębie,
 Żleby milczące, albo też ochryple
 Od rozhukanych, szalonych potoków.
 I nagle wszystkie wieczne wodogrzmoty,
 Wszystkie siklawy, dalekie i bliskie,
 Przedtem w posępne otulone mrocza,
 Zaśniły w świetle w całej swojej grozie!
 Był to Hyperjon: jaśniejącą stopę
 Na granitowym postawiwszy szczytce,
 Ujrzał niedolę, którą światłość jego
 W straszliwszym jeszcze ujawniła kształcie.
 Włos miał złocisty, na wzór numidyjskich
 Skrecony pukłów, a majestatyczna,
 Królewska postać rzucała olbrzymi
 Cień śród swej własnej jasności, by ogrom
 Głazu Memnona przy zachodniem słońcu,
 Widzialny oczom wędrowca po Wschodzie.
 I jęk wydawszy, jak harfa Memnona,
 I załamawszy ręce, zamyślony,
 Stał tak milczący w głębokiej zadumie.
 Zwątpienie zdjęło powalonych bogów,

Kiedy przy sobie króla dnia ujrzeni
 Pozbawionego otuchy, i lice
 Zakrył niejeden przed tą falą światła.
 Lecz Enceladus dummem powlókł okiem
 Po swoich braciach, a na błysk tych źrenic
 Podniósł się Japet, i Kreus, i Fokus,
 I wszyscy razem zwrócili swe kroki,
 Kędy on wielką wystrzelił postacią.
 I czterej razem wywołali głośno
 Imię Saturna, a na to Hyperjon
 Ze swego szczytu odkrzyknął: „Saturnie!”
 Saturn zaś siedział obok matki bogów;
 W obliczu jego nie było radości,
 Jakkolwiek wszyscy bogowie z głębokich
 Poczęli wołać gardzieli: „Saturnie!”

KSIĘGA III.

Takie naprzemian burze i posepne,
 Głuche milczenie szarpały tytanów.
 Zostaw ich, muzo! Zostaw ich w tym bólu,
 Zbyt bowiem jesteś słabą, abyś godnie
 Mogła opieśnić ich męki straszliwe.
 Samotna rozpacz bardziej odpowiada
 Twym śpiewnym wargom... Zostaw ich, o muzo!
 Za chwilę bowiem spotkasz się z niejednym
 Z dawnych upadłych bożyszczy, bez celu
 Smutnie błądzących po błędnych wybrzeżach.
 Tymczasem cicho, łagodnie uderzaj
 W harfę delficką, a melodjom twoim
 Nietylko wiewy towarzyszyć będą,
 Idące z nieba, lecz i rozegrane
 W ciche poszumy wód doryjskich fale.
 Bo oto pieśń ta poświęcona ojcu
 Wszelakiej pieśni... Niechaj się płomieni
 To, co purpury okraszone barwą!
 Róże niech rosną, i niech ciepłem wionie
 W okrąg powietrze, i niechaj wieczorny
 I porankowy obłok tuli wzgórze
 W swoje rozkoszne runo; niech w puharach
 Pieni się wino czerwone, zimniejsze
 Od fal perlitych; niech muszla różowa,

W piasku lub w głębiach schowana bezdennych,
 Skręca się w swoje kraśne labirynty;
 I niech się młoda rumieni dziewica,
 Niby zniecka tknięta pocałunkiem!
 Raduj się, wyspo Delos, ty najpierwsza
 Z pośród lesistych Cyklad, ty, zielonych
 Pełna oliwek i palm, rzucających
 Cięń na polany twoje, i topoli,
 I szumnych buków, w których zefir śpiewa
 Swe najgłośniejsze śpiewy, i tych gęstych
 Krzaków leszczyny, ciemniejących w cieniu —
 Raduj się razem z niemi: on, Apollo,
 Jest znowu pieśni promienistą treścią.
 Gdzież on przebywał, kiedy olbrzym słońca
 Stał jaśniejący wśród żalów swych braci?
 W tym samym czasie opuścił był wcześniej
 Nadobną matkę i siostrę bliźniaczą,
 Śpiące w przybytku swoim, i o świecie
 Jął się przechadzać pośród wierzb nadrzecznych,
 Po kostki brodząc w lilijach doliny.
 Umilkł już słowik; po niebieskich drogach
 Włokło się jeszcze kilka opieszłych
 Gwiazd, a w gęstwinie drozd rozpoczął świstać
 Z cichej gardzieli. Na tej wyspie całej
 Nie było schronu ni grotty ustronnej,
 Gdzieby nie dotarł szmer i pogwar fali,
 Choć ledwie słyszany w niektórych zaciszach.
 On nadśluchiwać począł i zapłakał,
 A lzy promienne ściekały kroplami
 Po łuku złotym, który dzierzył w dłoni.
 Tak stał, z przymkniętem, żaławionem okiem,
 Kiedy wtem z gąszczy jakowaś bogini
 Jęła się krokiem zbliżać uroczystym —
 Z widnym zamiarem w oczach, że ku niemu.

On, przerażony, odczytał zamysły
 I melodyjnym tak przemówił głosem:
 „W jaki ty sposób przyszedłś tu przez morze,
 Którego żadna nie dotknęła stopa?
 Albo czyż — powiedz — kształt ten starodawny,
 W takie obleczon suknie, do tej pory
 W tych tu przebywał stronach niewidzialny?
 Prawda. Słyszałem-ci szmer twego płaszcza
 Nad spadającym liściem, gdym samotny
 Siadywał w chłodzie tego lasu... Prawda!
 Śledziłem szelest twojego podołka
 Nad trawą polan ustronnych; widziałem,
 Jak kwiaty główki wznosiły do góry,
 Kiedy nad niemi zawiewał twój poszum.
 O tak, bogini! Jam przedtem już patrzył
 W te oczy twoje, w ich spokój wieczysty,
 Przedtem już w twoje spoglądałem lice,
 Albo też śniłem...“ „Śniłeś, śniłeś o mnie —
 Odpowiedziała ta postać wyniosła, —
 A gdyś się zbudził, znalazłeś przy boku
 Lirę złocistą, a kiedyś palcami
 Strun jej się dotknął, słuch nieutrudzony
 Wyteęzał cały ten wszechświat, by słuchać
 W bólu i wielkiej rozkoszy narodzin
 Tego nowego cudu pieśni... Powiedz,
 Nie jest to dziwnem, żeś płakał, takimi
 Wyposażony darami? Młodzieńcze,
 Jakaż ty troskę możesz mieć? Odpowiedz,
 Bo smutna jestem, patrząc na lzy twoje;
 Odkryj swą boleść — odkryj przed istotą,
 Co na samotnej, ustronnej tej wyspie
 Była ci stróżem twoich snów i wszystkich
 Dni twego życia od pierwszej młodości,
 Gdy kwiaty ręką zrywałaś bezmyślną,

Aż do tej chwili, kiedy ramię twoje
 Zaczęło dzierżyć ten łuk bohaterski.
 Serca twojego odsłoń tajemnicę
 Przed dawną mocą, która uświęcone
 Odbiegła trony, usłyszawszy wieszczbę
 O narodzinach — tak! — nowego piękna,
 Wieszczbę o tobie...“ Po szybkim namyśle
 I z nieprzymgloną źrenicą takimi
 Odrzekł Apollo słowy z nabrzmiałego
 Dźwięczną melodią gardła: „Mnemosyne —
 Przecz na języku mam twe imię, nie wiem —
 Cóż ci mam mówić, o czym wiesz najlepiej?
 Cóż się mam silić, ażeby ci wyznać
 To, co w twych ustach nie jest tajemnicą?
 Zamyka oczy moje jakieś ciemne,
 Ciemne, bolesne, niskie zapomnienie;
 Siłę się zbadać, czegom taki smutny,
 Że aż mi smutek ubezwładnia członki,
 I potem siadam wśród traw i narzekam,
 Jak ktoś, co skrzydła miał u ramion; czemu
 Złaman się czuje i kłatwą obarczon,
 Kiedy ten pana nieznający powiew
 Do stóp się moich z upragnieniem łąsi?
 Poco mam deptać trawy, jakby były
 Przenienawistne dla mych stóp?... Łaskawa,
 Dobra bogini, chciej mi wytłumaczyć
 Niektóre rzeczy nieznane: istnieją
 Oprócz tej wyspy inne jeszcze strefy?
 I czym są gwiazdy? Jest i słońce! Słońce!
 I przelagodna poświata księżycą!
 A gwiazd tysiące! Pokażże mi drogę
 Na którą z gwiazd tych pięknych, a ja na nią
 Polecę razem z mą lirą i sprawię,
 Że blask jej srebrny będzie drzał z rozkoszy...

Słyszałem grzmoty w chmurach... Czyjaż moc to?
 Czyjaż to ręka, czyja boskość, czyja
 Wszczyzna istota ten huk wśród zwiolów,
 Gdy ja z bezmyślną, ale przebolesną
 Nieświadomością słucham z tych wybrzeży?
 Powiedz, samotna bogini! Na lutnie,
 Pojękującą ranki i wieczory,
 Powiedz, dlaczego szaleję w tych gajach?
 Milczysz — a, milczysz!... Lecz ja w tem milczącym
 Czytam obliczu przedziwną naukę:
 Oto jakiegoś ogrom przypomnienia
 Czyni wraz boga ze mnie — szereg zjawów,
 Straszne wypadki, nazwiska, rokosze,
 Dawne legendy, królewskie rozkazy,
 Majestatyczne moce, walki, skony,
 Tworzeń i niszczeń potęga: — to wszystko
 Zalewa naraz te mnogie komórki
 Mojego mózgu i wraz nieśmiertelne
 Daje mi piętno boskości, prawdziwie,
 Jakgdybym jakieś wypił niezrównane,
 Skrzące się wino, jakiś niezwyczajny
 Nadziemski trunek...“ Tyle bóg powiedział,
 A promieniste jego oczy, równym
 Płonące blaskiem pod białemi skrońmi,
 Drżącem uwieźły światłem w Mnemosynie.
 I potem naraz dziki szął nim wstrząsnął
 I rozczzerwienił jasną, nieśmiertelną
 Urodę jego członków; był podobien
 Komuś, co walkę stacza w bramach śmierci,
 Albo też raczej komuś, który oto
 Żegna się z bładą, nieśmiertelną śmiercią
 I z bólem, równie gorącym, jak zimnym
 Jest znów ból śmierci, wśród strasznych konwulsyj
 Umiera w pełni życia; tak się męczył

Młody Apollo, a włos jego cudny,
 Jego złociste, przesławne kędziory
 W falistych kłębach wiły się po karku.
 A wśród męczarni takiej Mnemosyne
 Trzymała nad nim ręce niby wieszczka.
 Naraz Apollo zakrzyknął — i oto
 Z jego niebiańskich kształtów....

Tu się poemat urywa.



286485